Konkurs literacki

Wieczorówka

Temat przewodni: Kac morderca nie ma serca

Autor: Mordecz

Uderzenie klapą od laptopa kończyło kolejny dzień. Kilka godzin spędzonych na zajmującej lekturze pozwoliło głównemu bohaterowi zapomnieć o sprawach doczesnych, chociaż wiedział, że w momencie oderwania słuchu od gasnących radiatorów czeka go tylko charakterystyczny dla ucha pisk przestrajanego kowadełka oraz mozaika kolorów wywołana punktowym paraliżem siatkówek. Widzący przez mgłę nie myślał o pójściu do optyka. Pluł na bolące oczy, na nieprzestrzeganie zasad ergonomii, na zdrowe odżywianie czy optymalne godziny snu. Czuł się geniuszem, siedząc do późnych godzin nocnych nad projektami, których i tak nikt nie przeczyta. No - przecież tylko jednostki o ponadprzeciętnej inteligencji zarywają nocki, podobnie zresztą jak osoby wyrzucone z uczelni zostają milionerami. Uwielbiał tą ironiczną patologię, której znaczenie zdewaluowano do medium wszystkich populistycznych mediów. Miał nawet w nosie to, że rzuca pleonazmami czy myśli o kolorowych konikach.

Degenerat miał jednak pewne zasady, na przykład, nie słuchał muzyki okraszonej epickością. Jego zdaniem epickość pozbawiona liryczności prowadziła do bólu tyłka, ataków serca oraz wizyt straży miejskiej pod pretekstem naruszania spokoju godzin nocnych. Wolał słuchać muzyki rockowej początkujących i niszowych twórców. Miał nieodparte wrażenie, że w takich chwilach włącza radio i trafia na stację disco-polo. Trzy godziny tego samego brzmienia, identycznego wokalu oraz poruszanych treści.

Każdy miał swój narkotyk - jego, co dziwne, była religia. Zawieszony na szyi medalik notorycznie ściskano, a spływający do głowy impuls elektryczny sprzyja pojawieniu się przed oczami obrazów niepożądanych, zmuszających nadnercza do nadmiernej pracy. Wezbrana siła przechodziła z powrotem do palców, potem na klawiaturę, a nowy obraz ukazywał kolejne rzędy różnokształtnych mrówek, informujących mechanizm abstrakcyjnego myślenia o kolejnym napisanym zdaniu. Kilka uścisków później dochodziło do zamknięcia laptopa, a oznaczona czerwonymi śladami ręka mogła wreszcie odpocząć. Główny bohater mógł raz jeszcze odetchnąć,

oddając umysł przychodzącym z wolna bodźcom.

Zbliżała się niedziela, w dodatku najświeższa po Bożej Rodzicielki Maryi. Może i nie miał tak ambitnych planów jak większość ludzi zdolnych do szukania wymówek, ale zdawało mu się, że jego wyglądają realnie. Uścisnąwszy raz jeszcze medalionik, przywołał wspomnienia sprzed uroczystości; ten kilkunastomiesięczny okres, kiedy to w ramach obietnicy wobec świata odwiedzał raz na -dziesiąt dni dom starszej pary, gdzie chował się jeden z rodziców. Druga para nie żyła od lat. Miał może cztery lata, jak odszedł ostatni rodzic jego rodzica. I znów miał w nosie powtórzenia czy niepoprawne formy - przecież to były autorskie myśli, a te od zawsze są nielinearne. Mimo wszystko, obrazy pokazywały zadowolone twarze, garnące do opowieści bardziej niż krzywienia od alkoholu bądź trudnej krzyżówki zmieszanej z demencją. Zabawnie usłyszeć pikantne szczegóły pierwszego razu sprzed siedemdziesięciu lat, o doskonale zapamiętanych chwilach startych od piasku twarzach i tak dalej.

Na najbliższe miesiące miał bardziej ambitne zadanie - co -naście dni wykonać telefon. Nie byle jaki, bowiem wykręcony numer sugerował kontakt z bazą, do osamotnionej pary pozbawionej kwitnących u nóg latorośli. Młodsza o wiecznie zachowanej urodzie oraz zrzędliwy starszy wypełniali swoimi charakterami pozostawione pokoje pełne pamiątek sprzed kilku lat. Dzisiejsze czasy łączyły ich z głównym bohaterem niezależnie od odległości, pokonanej drogi czy zmienionych poglądów. Nawet wyciskane z medalionika obrazy nie mogły się równać scenom kreowanym przez zmodulowany w słuchawce głos kogoś naprawdę bliskiego.

Podobnie jak zawał serca gwarantowała pozbawiona liryczności epickość, tak też krojenie duszy nożem wspomnień nie zapewniało stabilnego gruntu pod nogami. Główny bohater wiedział, że w przyszłości zamierza pielęgnować przeszłość, by ta zapewniała mu spokojniejszą przyszłość. Nawet teraz, po trzykroć miał w nosie cudzą potrzebę szukania sensu w miejscach go pozbawionych. To było jego życie, jego myślenie oraz jego przeczucie, że i tak nikt tego nie przeczyta. Powinien z tego zrobić *kredo*, pomyślał z uśmiechem na twarzy.

Nie wiedział nawet, kiedy pojawił się w łóżku. Przez cały czas miał niejasne wrażenie, że czuwa przy nim Akwizytor spisujący umowę na kolejne miesiące, a otrzymany od Inkwizytora raport o postępach posłużył jako klauzula zaufania. Podpisywanie paktów ze świętobliwymi demonami nie było złe - poczucie, że ktoś obserwuje głównego bohatera, tylko stymulowało go do czynienia kolejnych kroków,

szukania odpowiedzi na pozbawione egzystencji pytania czy popełniania coraz to nowych potknięć na wijącej się trzydzieści lat drodze. Drodze, którą układał sam Manepheus - pylistą, pozbawioną drogowskazów, zmuszającą myślącego o nim o zapaściu śpiączkę.

Tak oto poległ na łożu święty heretyk. Trzymający medalionik pesymistyczny optymista. Z Bogiem i bożkami przy boku. Dzieciątka Blackwood. Kochankami o imionach Alekto, Megera i Tyzyfone. Jak inni oddawali hołd lenny romantyzmowi, tak on siłom prowadzonym wzdłuż wytyczonej ścieżki. Na potwierdzenie usta krzywiły się w radosnym grymasie, nadając twarzy uroczo-hipokrytyczny kształt. Niezależnie od stanu jaźni, miał w nosie słowotwórcze gwałty.

- Kac morderca nie ma serca - stwierdził na sam koniec główny bohater, topiąc głowę między poduszkami, a wirujące wokół figury niknęły od nadmiaru wydzielonej melatoniny.